

# Idziemy na dno

AUTOR: PIOTR SOBIERSKI

**Kościelniak sięga po Felliniego**, by stworzyć portret końca ustabilizowanego porządku. Statek cały czas płynie, zmienia się tylko skład pasażerów na pokładzie.

■ Federico Fellini wymieniany jest przez Wojciecha Kościelniaka wśród najważniejszych artystów kształtujących jego wrażliwość. Z dorobku mistrza, jeszcze przed realizacją musicalu we wrocławskim Capitolu, wybór filmu *A statek płynie* zdawał się być ostatnim z możliwych. Co prawda jest to tytuł idealnie skrojony dla teatru muzycznego, szczególnie biorąc pod uwagę jego związki z muzyką i przeniesionych z operowej sceny bohaterów, ale to dzieło, w którym kryje się sporo przeszkód, a niespieszne tempo narracji wydaje się największą z nich.

Kluczowy jest więc wybór odpowiedniej muzyki. To ona w największym stopniu determinuje tempo akcji, charakter relacji pomiędzy bohaterami oraz rozłożenie akcentów poszczególnych wątków. Mariusz Obijalski, z którym Kościelniak pracuje od kilku sezonów, stworzył kompozycję pełną rozmachu, co w naturalny sposób koresponduje z ikonicznym wizerunkiem opery, do tego współgra ze złotymi elementami wnętrza Capitolu. Przede wszystkim to muzyka znakomicie osadzona w dramaturgii spektaklu. Oderwana od czasów, w których rozgrywa się historia, a jednocześnie niezwykle mocno z nimi zespolona. Jest oniryczna, duszna, niekiedy transowa, szczególnie gdy nawiązuje do dźwięków z maszynowni statku. Ta wybitna kompozycja nie jest spektakl, ale także idealnie uwypukla nowe spojrzenie na filmowy scenariusz Felliniego i Tonina Guerry. Kościelniak jest bowiem nie tylko reżyserem, ale też autorem scenariusza i tekstów piosenek.

Mistrz włoskiego kina wyreżyserował *A statek płynie* dokładnie czterdzieści lat temu, u kresu kariery. Pomimo kultu, jakim darzyli go światowi notable, publiczność coraz częściej się od niego odwracała. Fellini

zdawał się bezradny wobec zmian, również w dziedzinie filmu. Stąd też może wybór tematu, który zawiera to, co najlepsze i charakterystyczne dla jego dorobku – przenikliwe spojrzenie, dowcip oraz plebejskość. Jest to opowieść o końcu świata, a nawet bardziej – epoki, która zderza się z nowym. Fellini musiał zdawać sobie sprawę, że i jego rejs dobiega końca, chociaż ze znaną sobie przenikliwością w finale zaznacza, że wielu pasażerów tonącego statku ocalało. W tym on sam, nie tylko w kinie, ale i w teatrze.

Produkcja Capitolu wiernie podąża za filmową akcją, ale reżyser mając do dyspozycji teatralne środki, dokonał kilku zmian. Ta najważniejsza to podporządkowanie spektaklu muzyce, która go szczelnie wypełnia, aktorzy śpiewają wszystkie kwestie, co nie jest tak częstym zabiegiem w przypadku tego gatunku. Wiele wątków zostało skumulowanych i przypisanych do mniejszej liczby bohaterów, a dodatkowo jeden z nich, nieobecny w filmie fizycznie, pojawia się na scenie.

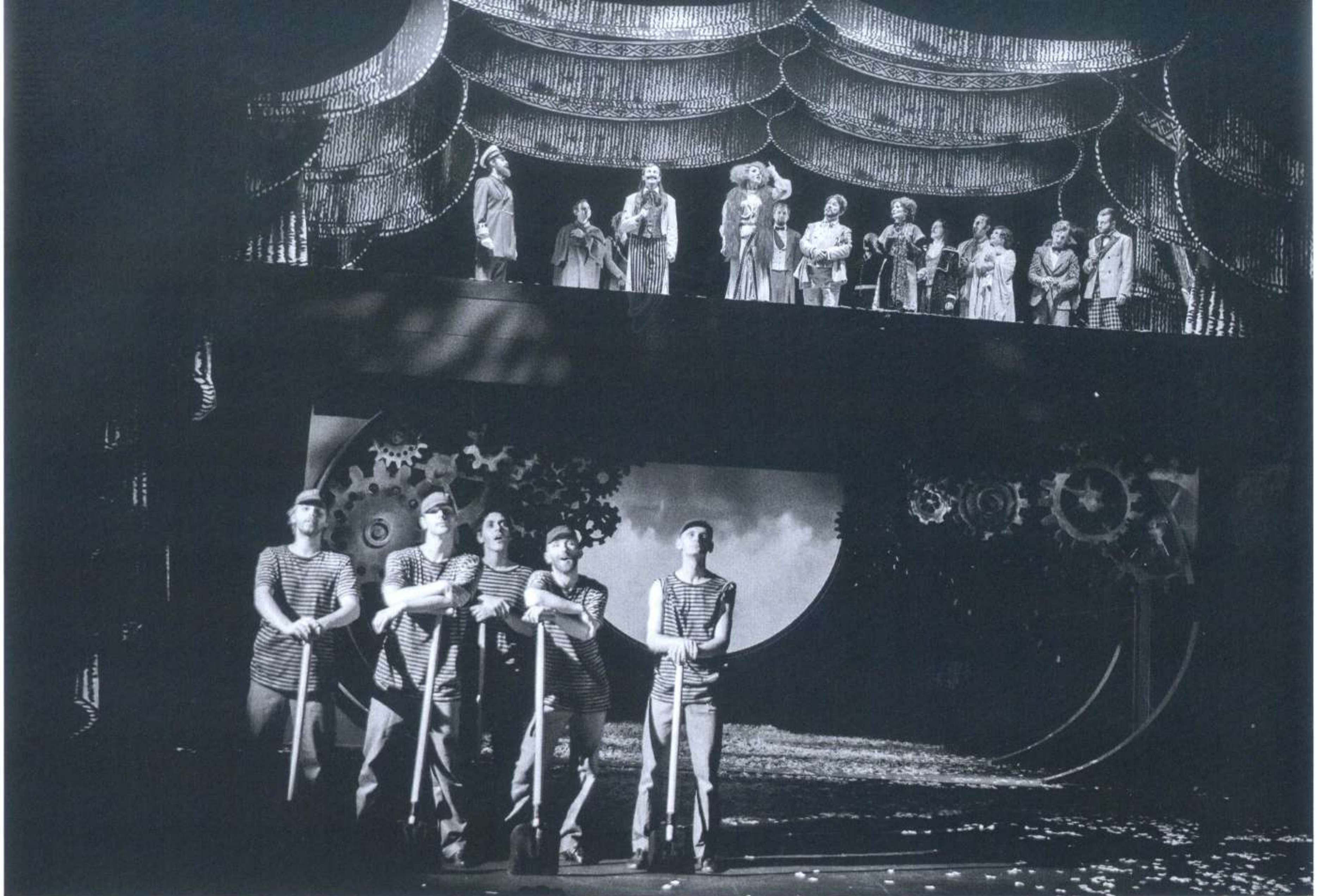
Jest nim Edmea Tetua, wielka włoska śpiewaczka operowa, która zapisała w swoim testamentie prośbę, aby ją skremowano, a prochy rozrzucano u brzegu wyspy, na której się urodziła. „Jeszcze przez chwilę chcę się wami nacieszyć” – śpiewa wcielająca się w ducha śpiewaczki Magdalena Szczerbowska. Niezwykła to kreacja, oderwana od całości, często oparta na gestach i tańcu, a przy tym nieskazitelna wokalnie.

Edmea zaplanowała rejs, w który rusza elita ówczesnych Włoch. Jest 1914 rok, środek lata, na pokład wchodzi gwiazdy opery, ludzie sztuki i polityki. Łączy ich, jak się zdaje, wyłącznie znajomość ze zmarłą. Bo, pomijając zaspokojenie próżności i głodu, to prawdziwa wieża Babel, na której wszyscy mówią tym

samym językiem, lecz nie potrafią się porozumieć. Zbiór tragicznych i śmiesznych zarazem postaci, który od początku nie widzi i nie słyszy śpiewającego ludu: „Dla państwa transatlantyki, a dla nas głód”.

Towarzyszy im spokój, jak podczas podziwiania gwiazdzonego nieba. To okazja do wspomnień, ale jak się okazuje – nie do refleksji, która pozwoliłaby dostrzec nadciągające niebezpieczeństwo. Ich krótkowzroczność odbija się w znakomitej scenie wokalnych popisów przed palaczami w kotłowni statku. Nieokrzesane grono mężczyzn spogląda na ten konkurs z zainteresowaniem, ale nietrudno dostrzec groteskowość sytuacji. Dawne sławy rywalizują na głosy, walczą z niemożliwym, bo zarówno opera, jak i ich sława zdają się już nieistotne i przebrzmiałe.

Jeden z bohaterów mówi: „O życiu się nie rozmawia, życie się tworzy”. Dopiero więc, gdy każdy z nich pozostaje sam ze sobą, uwalniają się prawdziwe emocje, a mocno zarysowane i formalnie poprowadzone postaci schodzą z piedestału. Silna i wyzwolona Lady Violet Dongby w kreacji Małgorzaty Walendy okazuje się ciepłą i empatyczną kobietą, a tajemniczy Conte di Bassano, nakreślony w interesujący sposób przez Mateusza Kierasia, odsłania swoją skrywaną naturę. Do tego książęce rodzeństwo – zjawiskowa księżniczka Hermina Agnieszki Oryńskiej-Lesickiej, niewidoma, ale dostrzegająca w głosach koloru, a także jej brat Wielki Książę von Herzog, niski, korpulentny dzieciak w ciele dorosłego. Wcielający się w postać Filip Karaś wypowiada jedno ważne zdanie: „Jesteśmy na krawędzi wulkanu”. Śpiewając następnie piosenkę o małym, dziecinny księciu, zdaje się dostrzegać, że nie będzie już mu dane zaznać chwały związanej z posiadanym tytułem.



A statek płynie, reż. Wojciech Kościelniak, Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu [2023]

Intrygują dwie śpiewaczki. Justyna Woźniak jako Ildebranda Cuffari tworzy pozornie posągową postać. W wielu momentach wychodzi jednak z ram swego fizycznego piękna. Przebrzmiała kariera, której trudy odbijają się w coraz gorszej kondycji wokalne, szaleństwo w oczach i wzburzonej fryzurze. Wszystko to składa się na portret kobiety w zawodowym i osobistym kryzysie, na który największy wpływ ma brak porozumienia z dojrzewającą córką Moniką (Klaudia Waszak). Najbliżej zmarłej Edmei była jednak Teresa Valegnani. Jej pragnienie spotkania z duchem przeradza się w prawdziwy krzyk rozpacz. Justyna Szafran obdarza tę postać nie tylko charyzmą i dojrzałością, ale też odpowiednią dozą szaleństwa, chociaż najciekawsza jest w momentach wyciszenia. Piosenka o srebrnym szalu wprowadza w szczegóły tej relacji, pięknej, ale nie do końca szczęśliwej i spełnionej miłości. Być może ukrywanej, a może będącej zawsze na drugim miejscu, tuż za magią sceny. Teresa nie przestała kochać, nie pogodziła się z tą stratą.

Pasażerowie kochają się, zdradzają, walczą ze sobą. „Co słowo, to cios. Idziemy na dno” – śpiewają zgodnie. Chyba do końca w to nie wierzą, zaślepieni swoją przemijającą wielkością potrafią się zjednoczyć jedynie w obliczu wroga. Jednym z nich jest niepokojący smród dochodzący z najniższego pokładu. W ładowni leży chora samica nosorożca, nad losem której płacze dozorca. Niezrozumiały

dla większości, bo mówi po turecku. Nie dziwi więc, że dla podróżnych to tylko powód przykrego zapachu, a nie piękny i umierający zwierz, dowód wyniszczającej działalności człowieka i braku partnerstwa na ziemi. Momentami piosenka dozorca, w tej roli znakomity Rafał Kozok, bliska jest mantrze. Aktor obdarzył swoją postać wrażliwością, tak silnie odczuwaną w konfrontacji z jego fizycznością. „Ja jestem jej dozorca i kocham ją bezwzględnie”. Prosi o pomoc, ale zainteresowanie pasażerów maleje, gdy tylko wracają na swój luksusowy i bezpieczny pokład.

Tam czeka ich największy egzamin z człowieczeństwa, czyli spotkanie z serbskimi uchodźcami wojennymi. Ich pojawienie się na pokładzie powoduje konsternację i wzmagą niepokój. Zaczęła się wojna po zabójstwie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie. Nie ma już odwrotu od upadku dotychczasowego świata. To historyczne wydarzenie jest jednak dla Kościelniaka tylko pretekstem do zarysowania portretu końca każdego ustabilizowanego porządku. Statek cały czas płynie, zmienia się tylko skład pasażerów na pokładzie.

Jest więc na tym statku wszystko, co charakterystyczne dla okresu przełomu wieków: opera, magia, mistycyzm i wielki geopolityczny konflikt, do tego mocno zarysowane rozwarstwienie społeczeństwa – przedstawiciele wyższej klasy i zwykli, niewydurowani robotnicy. Wszystko jest tu na połysek, idealnie oddaje poczucie wyjątkowości. Najważniejsze

tytuły włoskiej opery, obraz Mona Lisy, piękne suknie, nieskazitelne peruki oraz choreografia Mateusza Pietrzaka, w której zawiera się bogata paleta emocji i energii pasażerów. Wizualnie to majstersztyk na miarę największych musicalowych i operowych scen. Mariusz Napierała odpowiedzialny za dopracowaną w szczegółach scenografię oraz kostiumografka Martyna Kander przenoszą widzów w świat dawnej elity, ale jednocześnie w inteligentny sposób zaznaczają niewiadomą i nadchodzący przełom.

Ten statek mógł wypłynąć na otwarte morze utopii, w której nikną podziały. Zamiast tego symbolicznie tonie, w atmosferze niezrozumienia – człowieka z człowiekiem, starego z nowym. Wystrzały armaty, które swoim rozmachem zdają się być wręcz namacalne, to momenty, kiedy teatr zrywa z filmowym żartem Felliniego i nabiera zupełnie nowego znaczenia. Kościelniak zdaje się mówić ze sceny Capitolu o istotnych i aktualnych sprawach. Nie ucieka w publicystykę. Serbowie pozostali Serbami, pierwszej wojny światowej nie zastąpił konflikt z zachodniej granicy. Powstało dzieło uniwersalne, ważne, niepozbawione humoru, a jednak przede wszystkim bolesne. ■

Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu  
*A statek płynie*  
 adaptacja, reżyseria, teksty piosenek  
 Wojciech Kościelniak  
 premiera 7 października 2023